

Historia Clementa

Clement Usabase opowiada swą historię, która rozpoczyna się opuszczeniem Rwandy, a kończy uzyskaniem “papierów”.

06-11-2007

Dziś mam 37 lat i urodziłem się w Rwamagana, miejscowości zamieszkaną przez 20 tys. osób, oddalonej 50 km od Kigali, stolicy Rwandy. Tam mój świat był bardzo mały: ograniczał się do piłki. Rankiem grałem w piłkę nożną z drużyną z mojej dzielnicy. Grałem

tam w ataku, marząc o tym, by zdobywać gole jak George Weah, słynny piłkarz z Liberii, który został wybrany najlepszym piłkarzem Afryki. Ja byłem za Monaco, drużyną Weah, i marzyłem, aby zatrudnił mnie Real Madryt...

W mojej rodzinie żyliśmy bardzo zjednoczeni, mimo wielu wojen plemiennych, które wybuchały w naszym kraju, byłej belgijskiej kolonii. To piękny kraj, jego piękno jednak czasem przeradza się w dramat. W latach 1990-94 doszło tu do ludobójstwa, w wojnie między Hutu i Tutsi. Mój ojciec, Evariste, był Hutu. Moja matka, Marie Claire, Tutsi.

Pamiętam pewien słoneczny dzień roku 1991. Miałem 17 lat i chodziłem do szkoły liczącej 300 uczniów, prowadzonej przez księży. Przed południem jeden z nauczycieli wszedł do klasy i zawołał mnie.

„Twój ojciec zginął”, powiedział mi cicho.

Wiadomość ta spadła na mnie jak grom. Było to naprawdę mocne uderzenie. Tata zostawił po sobie osieroconą czwórkę rodzeństwa, ponieważ moja matka zmarła 5 lat wcześniej na ostre zapalenie oskrzeli. Moja ciotka Rose zaopiekowała się nami.

Ja – jako członek grupy muzycznej – jestem tym ostatnim w rzędzie, chociaż drugim pod względem wieku. Mam na imię Clement i myślę, że moje imię ze chrztu nauczyło mnie łaskowości (łac. clementia), cierpliwości. Łaskowości dla innych i wymagania od siebie. Modliłem się za moją ciotkę Rose, za pokój, za moich krewnych i przyjaciół. Również za osoby nieznane, szczególnie za ofiary ludobójstwa...

W 1998 r., po wojnie domowej, kraj pozostał w kryzysie. Ogarnęła go

wielka niestabilność ekonomiczna i społeczna. Miałem wtedy okazję do opuszczenia kraju. Chciałem dalej się uczyć, a w Rwandzie nie było to łatwe, bo uniwersytety nie funkcjonowały dobrze.

Zdecydowałem się przenieść do Maroka, gdzie pracował mój starszy brat, i studiowałem w Rabacie ekonomię. Mogłem mówić o szczęściu, że na uniwersytecie mówiło się po francusku, bo nie miałem pojęcia o arabskim. Również nie znałem w ogóle hiszpańskiego, zanim nie przyjechałem do Melilli w 2004 r. [Melilla to 70-tys. miasto należące do Hiszpanii w północnej Afryce – przyp. tłum.], posiadając stypendium na odbycie studiów z zarządzania firmą.

Kiedy skończyło mi się stypendium, pozostałem bez pracy i bez papierów. Prosiłem dalej o łaskawość i o miłosierdzie Boże. Chodziłem często na Mszę i, pewnego dnia, przy

wyjściu, jeden przyjaciel powiedział do mnie:

- Chodzę do jednej z rezydencji Opus Dei, chcesz iść ze mną?

Zgodziłem się, poszedłem do rezydencji i zacząłem rozmawiać z ks. Manuelem. Co jakiś czas przychodził tam Alfonso z Malagi. Jest dziennikarzem i członkiem Opus Dei, dzięki niemu poznawałem ducha Opus Dei.

Bez papierów

W tym czasie pracowałem jako wolontariusz w rezydencji dla ludzi starszych, i dalej próbowałem zdobyć papiery. Minęło kilka miesięcy, nadeszło Boże Narodzenie, i w jednym przedszkolu w Melilli potrzebowali króla Baltazara [w kulturze latynoskiej prezenty dzieciom przynoszą Trzej Królowie – przyp. tłum.]. Szukali prawdziwego Baltazara i zgodziłem się. Było to

bardzo zabawne. Następnego roku robiłem za Baltazara w rezydencji dla starszych.

Papiery były moim głównym zmartwieniem. Dzięki Bogu widziałem, że dużo osób się za mnie modliło.

W kolejnym roku awansowałem: byłem jednym z Trzech Króli podczas obchodów Objawienia Pańskiego w mieście... I dalej modliłem się, aby dostać szansę na rynku pracy.

Prosiłem władze o pozwolenie prawne, aby spędzić kilka dni w Maladze i móc odbyć pierwsze rekolekcje w Los Jarales, w Antequera. Choć dalej nie miałem papierów, otrzymałem zezwolenie na krótki pobyt na Półwyspie Iberyjskim.

Podczas tych dni rekolekcji dużo się modliłem, poczułem się umocniony w wierze i zdecydowałem się zostać

współpracownikiem Opus Dei.
Prosiłem dalej Boga o moje papiery i
o odnalezienie dobrej żony. O
papiery prosiłem Św. Josemaríę,
który jest świętym od pracy. A o żonę
– Matkę Bożą i moją matkę, i mam
nadzieję, że obie pomagają mi z
nieba.

10 czerwca otrzymałem wreszcie
kartę stałego pobytu w Hiszpanii,
wraz z pozwoleniem na pracę. Od
tego czasu pracuję w Melilli,
odpowiadając za jeden z magazynów
towarowych. Teraz, nareszcie,
otrzymałem pierwszą pensję. Jest to
owoc łaskowości Boga i
wstawiennictwa Św. Josemaríi. Teraz
dalej modlę się, abym znalazł żonę
na całe życie.

pl/article/historia-clementa/
(21-04-2025)